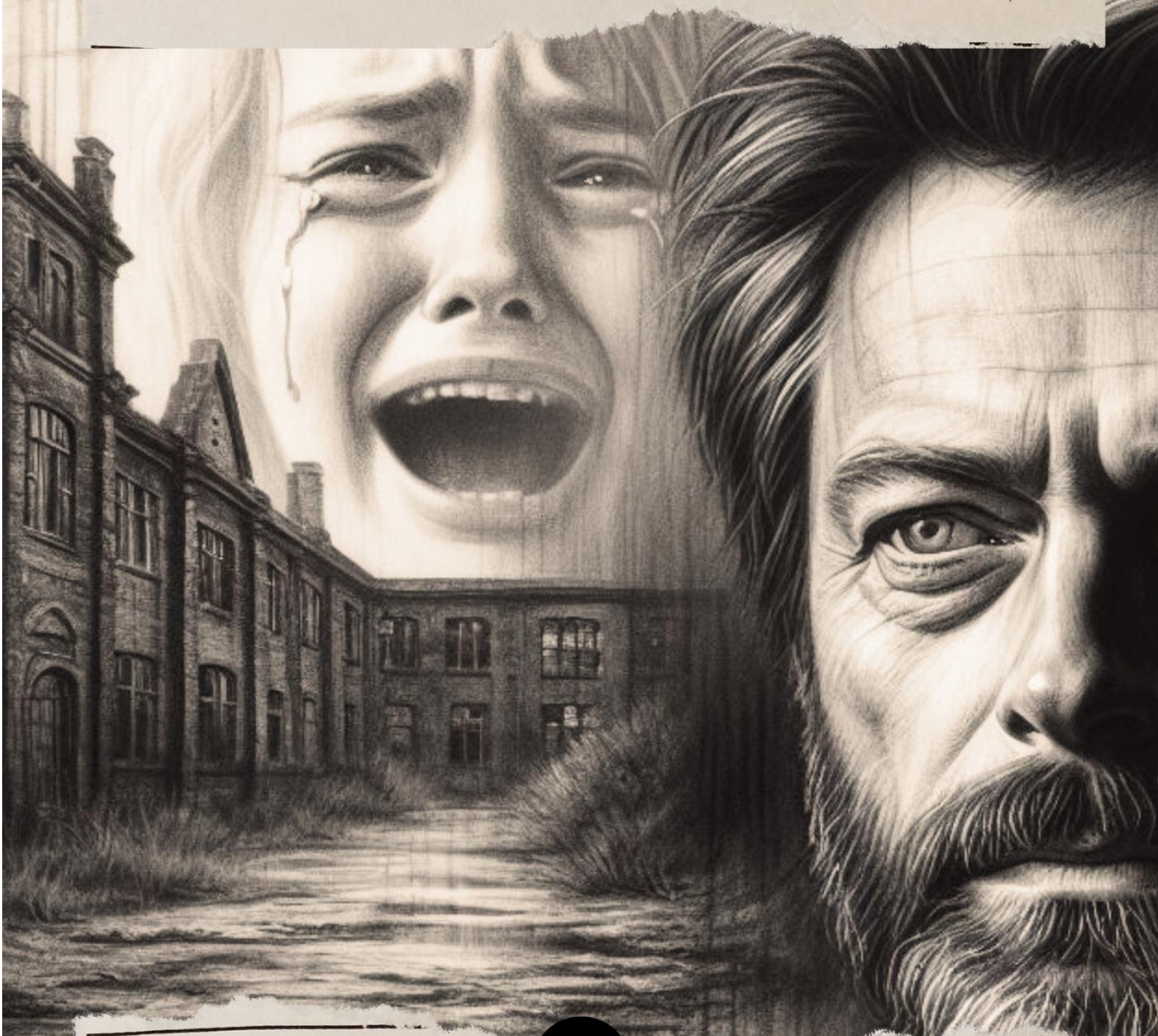


SEBASTIAN IMIELSKI



1

POLONISTA

Sebastian Imielski

Polonista

Akt 1

Książkę dedykuję rodzicom.

Sebastian Imielski
POLONISTA
Akt 1

Wydawca: Chemia mózgu
Copyright © Sebastian Imielski 2025
Okładka Copyright © Sebastian Imielski 2025



Redakcja: Joanna Łukowska
Korekta: Maciej Śłużyński
Redakcja techniczna RW2010
e-wydanie I

ISBN 978-83-974866-0-7

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Część I Grunwald

Rozdział 1

Krzyk rozpaczony rozbił ciszę. Las niósł go po rozległej połaci i wbijał w umysły ludzi, którzy od kilku godzin szukali zaginionego chłopca. Gdy dopadł moich uszu, szedłem powoli pośród drzew, rozganiając mrok i deszcz strumieniem światła z latarki. Blask padał na ściółkę. Poruszaliśmy się tyralierą, szukając czegokolwiek, co mogłoby należeć do małego Kasprzyka. Bez rezultatów. A teraz to. Stałem jak wryty. Pomyślałem, że to nie jest ludzki krzyk, a zniekształcony dźwięk ptasich odgłosów, wspomagany porywistymi powiewami wiatru i uderzeniami deszczu o liście drzew i ściółkę. Wizja umysłu została natychmiast zburzona, gdy krzyk się powtórzył. Był głośny i przeciągły. Roman też się zatrzymał. Podobnie jak większość poszukujących. Otaczające nas liczne snopy światła, zamiast padać na grunt, w jednej chwili zaczęły nerwowo błędzić we wszystkich kierunkach. Przyjaciel zbliżył się do mnie. W sztucznej łunie dostrzegłem jego przerażone oczy.

– Jezu – powiedział, a mężczyzna za mną powtórzył wezwanie do Boga, który zgodnie z naszymi obawami miał się okazać bezlitosny.

Gdzieś w ciemności zatrzeszczała krótkofalówka jednego z policjantów – lub strażaków – nadzorujących poszukiwania. Ktoś oddalony o kilka metrów mówił coś do radia. Nie potrafiłem rozpoznać słów. Opady deszczu przybrały na mocy, zupełnie jakby jakaś siła na górze odkręciła kurek ze łzami rozpaczony. Las opanował szum zalewającej świat wody. Nikt się nie ruszał. Choć miałem na sobie kurtkę przeciwdeszczową i trapery, byłem przemoczony do suchej nitki. Warunki poszukiwań przerosły możliwości producentów odzieży i obuwia. Slogany zachęcające do zakupu ich wyrobów po kilku godzinach w mokrym lesie były warte tyle, co entuzjastyczne komentarze zamieszczone w sieci pod ofertami, na które dałem się złapać.

Jednak gdy zwiastun śmierci wyje w ciemności, nie myślisz o niewygodach. Pokrywająca ciało gęsia skórka nie jest wynikiem przemoczonych nóg, a strachu. Baliśmy się, że za chwilę ktoś to zrobi – zakomunikuje o odnalezionych zwłokach dziecka.

Rozdział 2

O dwudziestej drugiej trzydzięci chłód listopadowego wieczora został zastąpiony przez ziąb zbliżającej się nocy. Temperatura oscylowała w granicach dwóch stopni, jednak przez wiatr i deszcz uderzała agresją typową dla minusowych pomiarów. Kilkadziesiąt osób szło przez las. W milczeniu i ze sponiewieraną nadzieją. Nie trzymaliśmy już tyraliery. Poszukiwania zostały zakończone.

Przed kilkunastoma minutami młody strażak przekazał nam najgorszy z możliwych komunikatów:

– Znaleźli go.

Jego twarz sprawiała wrażenie sinej. Nie mógł opanować drżenia ręki, w której trzymał radio.

– Wracamy w miejsce zbiórki – zarządził, choć głos mu się łamał.

Przeszło mi przez myśl, że nie tylko chłód go tak przytłacza. To śmierć wypełzła na ciemne leśne ścieżki i zaczęła hasać pomiędzy drzewami.

Nie ruszyliśmy od razu. Cisza, jaka wtedy zapadła, pochłonęła deszcz, wiatr i szum drzew. Staliśmy, przygwożdżeni tragedią tej chwili.

– Co się stało? – pytanie wydobyło się z głębi ciemności.

Strażak nie potrafił odpowiedzieć. Zrezygnowany ponowił nakaz powrotu. Przez pół godziny szliśmy jego śladem, każdy pogrążony w swoim mroku.

Jeszcze w południe wiele osób miało nadzieję. Liczba ochotników, którzy zgłosili się do poszukiwań, pozwoliła rozplanować je na rozległym terenie. Później optymizm wiał. Pogoda się załamała, temperatura spadła. O piętnastej minęła doba od zgłoszenia zaginięcia dziecka. Jeśli rzeczywiście był w lesie, a przekonywały o tym policyjne psy, które doprowadziły opiekunów spod szkoły aż pod Koleczkowo, czyli jakieś dziesięć kilometrów dalej, to jego szanse malały. Byłyby zdecydowanie większe, gdyby Miłosz Kasprzyk nie miał zespołu Downa. W tym przypadku nie można było liczyć na zaradność ośmiolatka. Nad lasem przeleciał śmigłowiec. Pewnie wracał do bazy. Maszyna z kamerą termowizyjną krążyła w górze przez wiele godzin.

– Co za tragedia – usłyszałem głos Andrzeja Borowika, fizyka z naszego liceum. – Teraz się zacznie...

Rozumiałem, o co mu chodzi. Choć myślenie o sobie w takich okolicznościach można uznać za naganne, niemniej trudno zaprzeczyć, że ta śmierć dotknie wiele osób. Miłosz Kasprzyk zniknął z terenu szkoły, w której pracowaliśmy. Choć ani ja, ani Roman czy Andrzej nie mieliśmy z nim żadnych kontaktów – chłopiec uczęszczał bowiem do specjalnej klasy szkoły podstawowej, podczas gdy my uczyliśmy w liceum – to jednak obie placówki należały do Fundacji Rycerze Rozumu. Zniknięcie dziecka będącego pod opieką szkoły z pewnością stanie się przedmiotem

prokuratorskiego śledztwa. Za sprawę wezmą się media, zwłaszcza te, na które wpływ miał rząd, ponieważ szef fundacji, Kamil Szostak, nie był ulubieńcem władz. Słynął z kontrowersyjnych i konfrontacyjnych wobec Ministerstwa Edukacji Narodowej wypowiedzi. Z pomorskim kuratorem oświaty był wręcz na wojennej ścieżce. Dotąd MEN, nie mając punktu zaczepienia, ograniczało się do publicznej wymiany złośliwości. Rozbudowywana przez fundację Szostaka szkoła cieszyła się dobrą opinią i miała znakomite wyniki, zarówno w testach po podstawówce (wcześniej gimnazjalnych), jak i na egzaminach maturalnych. Komunikat odebrany późnym wieczorem przez radio zdenerwowanego strażaka oznaczał, że ta dobra passa została brutalnie przerwana. Śmierć dziecka to eksplozja atomowa. Ministerstwo na pewno nie odpuści tej sprawy. Tam, gdzie w grę wchodzi polityka i ambicja, przeważnie nie bierze się jeńców.

Naszym krokom towarzyszyły głośnie mlaśnięcia zapadających się w błoto butów. Już nawet nie czułem deszczu. Na parkingu przed wejściem do lasu stała spora grupa ludzi. Były też dwa radiowozy z włączonymi kogutami. Jakaś kobieta – wydawało mi się, że jedna z matek uczniów – rozlewała herbatę z termosów do plastikowych kubków. Z wdzięcznością przyjąłem jeden z nich. Ciepły płyn przyjemnie grzał wyziębione ciało. Roman próbował wypytać kogoś z ekipy, która wróciła przed nami, gdzie znaleziono zwłoki; nikt jednak nie znał szczegółów. Poza strażakami do poszukiwań zgłosili się głównie mieszkańcy gdyńskiego Wiczlina, zwłaszcza osiedla, na którym mieszkał Miłosz Kasprzyk, a także rodzice uczniów naszej szkoły, no i część kadry. Podzielono nas na kilka grup, ale tej od makabrycznego znaleziska nie było na polanie.

Gdy stałem tam, zalany pulsującym światłem radiowozu, z herbatą w ręku, otoczony strzępkami zdań padających z ust zdezorientowanych ludzi, w głowie wybrzmiewały mi krytyczne pytania, przytłumione dotąd ferworem poszukiwań. Jak to możliwe, że ośmiolatek z dysfunkcjami intelektualnymi zniknął w środku dnia z renomowanej placówki w Gdyni? Jakimś cudem niezauważony samodzielnie oddalił się i zgubił? A może został uprowadzony? Do cholery, szkoła jest monitorowana, a każde wejście i wyjście odnotowywane przez portiernię! Co się stało?

– Widziałeś Agatę? – spytałem Romana.

– Mignęła mi kilka minut temu – odparł.

– Pamiętasz ten krzyk?

Przyjaciół potwierdził kiwnięciem głowy.

– Kobieta przy herbacie mówiła, że matka chłopca znajdowała się w grupie, która znalazła ciało.

– Boże... – Roman zawiesił głos. Nie musiał nic więcej mówić.

Ten dramat dopiero się rozpoczynał. Agata, o której wspomniałem, uczyła w naszej szkole muzyki, na różnych poziomach. Miała też zajęcia z maluchami oraz w grupach terapeutycznych.

Dobrze znała Miłosza, dlatego bez wahania zgłosiła się do poszukiwań. Ta śmierć uderzy w nią wyjątkowo mocno. Agata Kałuża wzruszała się bardzo łatwo. Płakała, gdy dostawała kwiaty na zakończenie roku lub laurki na Dzień Nauczyciela. Uwielbiała uczniów, zwłaszcza tych młodszych, i żyła z nimi, co w instytucji, gdzie jedni przychodzą, inni idą dalej, nie pomaga w zachowaniu równowagi emocjonalnej. Niemniej taka była i koniec. Ona, ja i Roman trzymaliśmy się razem. Jakoś tak samoistnie dopasowaliśmy się charakterologicznie. To nie znaczy, że izolowaliśmy się od reszty grona pedagogicznego, po prostu we własnym towarzystwie pozwalaliśmy sobie na bardziej frywolne żarty i niewinne przytyki wobec innych, szczególnie dyrekcji. Typowa pracownicza grupka plotkarska. Gdy trzeci radiowóz wjeżdżał na parking, pomyślałem, że te radosne wymiany szkolnych newsów, uskuteczniane na stołówce podczas okienka lub długiej przerwy, szybko nie powrócą.

Rozpoznałem policjanta, który wysiadł z pojazdu. Był z komendy miejskiej i koordynował akcję poszukiwawczą. Zanim ruszyliśmy w teren, robił odprawę z każdą kilkunastoosobową grupą dowodzoną przez mundurowego (w naszym przypadku strażaka), tłumacząc, że zdeorientowany i przerażony chłopiec mógł wcisnąć się w jakąś szczelinę. Staralem się, jak mogłem, by nie przegapić żadnego z takich miejsc. Kilka godzin później nie miało to już znaczenia. Ludzie na polanie wpatrywali się w przybyłego w milczeniu.

– Proszę państwa, kończymy poszukiwania – powiedział. – Na miejscu pracują technicy kryminalni. Dziękuję wszystkim za poświęcenie.

– Co się stało? Jak zginął? – dociekała głośno jedna z kobiet, wytaczając natychmiast argumenty osłonowe: – Mamy prawo wiedzieć. Tu mieszkają nasze dzieci. Musimy je chronić. Jeśli Miłosz został zabity, to należy nam się taka informacja.

– Nie wiemy – odparł policjant.

– No ale go znaleźliście i możecie coś powiedzieć.

Mówiła o ciele martwego dziecka jak o worku ziemniaków. Przecież jeszcze niedawno był członkiem tej społeczności. Z drugiej strony rozumiałem zdenerwowanie rodziców. Wszyscy wewnątrznie buzowali, a teraz hamulce zaczynały puszczać.

Policjant zaczerpnął głęboko powietrza.

– Proszę państwa – zaczął spokojnie i powoli – nie znaleźliśmy zwłok Miłosza.

W tym momencie nawet ja wlepiłem w niego wzrok. Dotąd, zawstydzony bezpardonowym atakiem kobiety, błądziłem spojrzeniem po błotnistej brei.

– Jak to? – jako pierwszy odezwał się Roman i odruchowo wskazał ręką strażaka. – Dostaliśmy informację, że nie żyje.

Policjant nie zmienił spokojnego tonu. Kojarzył mi się z negocjatorem przemawiającym do nie zrównoważonego kidnapera.

– Sytuacja była dynamiczna, zapewne stąd nieporozumienie. Nie odnaleźliśmy zwłok Miłosa, ale psy doprowadziły nas do miejsca, gdzie mógł zginąć. Jak wspomniałem, trwają tam czynności, pracują technicy. To wszystko, co mogę powiedzieć. Zabezpieczone ślady przekonują nas, że chłopiec nie błąka się samotnie po lesie, dlatego kończymy poszukiwania. Jeszcze raz dziękuję. Proszę, by państwo wrócili do domów.

Choć ludzie wokół mnie zaczęli się przemieszczać, ja stałem bez ruchu. Cały czas w uszach dźwięczał mi tamten krzyk. Rzeczywiście należał do matki Kasprzyka? Zapewne tak. Przyjmując na siebie niekończące się strugi deszczu, zastanawiałem się, co jest gorsze: odnalezienie własnego dziecka martwego czy stwierdzenie śladów jego męki, przy zachowaniu mikroskopijnej porcji nadziei, że może nie zakończyła się ona śmiercią i mały, choć cierpi, to jednak gdzieś jest i żyje?

Rozdział 3

Powiedziano mi kiedyś, że jestem jonaszem. Sprowadzam zły los na ludzi, których ścieżki życia splotły się z moim. Przyjąłem ten cios i z czasem się z nim oswoiłem. Dlaczego? Może dlatego, że moje życie pełne jest wybojów i zakrętów, za które łatwo obarczyć tajemnicze fatum. Skapitulowałem z poczucia winy. Dziś to widzę. Armatę z pociskiem zwanym jonasz wytoczyła kiedyś moja siostra i odpaliła go, wiedząc, że to broń niezwykle brutalna. Ale Anka taka jest. Wybuchowa. W rodzinie, w której zaginięcie ojca – nawet jeśli doszło do niego czterdzieści lat temu – jest nadal żywą traumą, obciążenie mnie dodatkowo winą za to wydarzenie było ciosem, który wytworzył na mojej duszy ropiejącą ranę. Miałem wtedy tylko pięć lat. Jak można karać dziecko takim brzemieniem? Ale stało się. Choć z siostrą, po wielu burzach, mam obecnie dobre relacje, to rana do końca się nie zasklepiła. Pod strupem nadal wyrastają pęcherze, a wraz z nimi powiększa się cień jonasza. Dostrzegam go szczególnie wyraźnie w takich chwilach jak wieczór poszukiwań Miłosza. Znowu nieszczęście i płacz. Znowu kłopoty i dramat. A w środku tego ja, Sylwester Cichy, czterdziestopięcioletni polonista bez większych talentów, który niczym diabelski katalizator sprowadza na ludzi zły los.

Wszystko miało wyglądać inaczej. Po powrocie ze Sławina postanowiłem pożegnać się z nauczaniem. Miesiące spędzone na kaszubskiej prowincji wiele mnie kosztowały. Miałem dość wewnątrzszkolnych rozgrywek, walki o władzę i realizowania napompowanych ambicji dyrekcji, a nade wszystko miałem dość tragedii, tajemnic i egoizmu, który wielu ludziom tam mieszkającym kazał owe tajemnice ukrywać. Nie czułem się też fizycznie na siłach, by wrócić do pracy w szkole. Uraz i śpiączka farmakologiczna zrobiły swoje. Choć na Kaszubach spędziłem zaledwie kilka miesięcy, czułem zmęczenie jak po dekadzie ciężkiej harówki. Po miesiącu od powrotu zabrałem się za pisanie książki. To miał być mój plan na życie. Wydarzenia w Sławinie przez chwilę były głośne, co skłoniło jednego z wydawców do zaklepania tematu. Doszedł do wniosku, że kto jak kto, ale polonista będzie umiał sklecić z tego interesującą fabułę. Tym bardziej, że tkwił w centrum całego zamieszania. Zapaliłem się do tego pomysłu. Taki przeskok dawał mi nową perspektywę, szansę na ruszenie do przodu z mielizny, w której powoli znowu się zapadałem. Zmiana fotela, z tego zarezerwowanego dla teoretyka literatury na miejsce praktyka, nie była łatwa. Na pierwszy rzut oka wyglądało to dobrze. Ustalenia z wydawcą mówiły o książce napisanej w popularnym stylu true crime. Zbrodnia, zamknięta społeczność, zarządzana apodyktycznie szkoła, tajemnice, w końcu szok po odkryciu prawdy. Wszystko w oparciu o prawdziwe wydarzenia.

Ambitne podejście do tematu, oparte na fascynacji „Z zimną krwią” Trumana Capote, okazało się błędem. To, co wypaliło na amerykańskim rynku lat sześćdziesiątych, przeszło pół wieku później w Polsce nie wywołało ekscytacji. Rodzimy odbiorca nie chciał brnąć przez zawilości psychologicznych dylematów sprawców zabójstw. W dzisiejszych czasach trup i przemoc muszą atakować od pierwszej minuty, akcja powinna być dynamiczna, a poboczne wątki bohaterów obcięte do minimum, lub całkowicie wyrzucone. „Szkółka na wzgórzu” nie spełniała tych wymogów i kiepsko się sprzedawała. Tylko niezłym recenzjom na branżowych portalach (te opinie nie były jednak tyle warte, co pochodzące z kont dorosłych recenzentów z Instagrama) zawdzięczałem propozycję napisania powieści kryminalnej. Choć już wtedy chodził za mną pomysł na biografię Broniewskiego w nowym ujęciu, to o tym projekcie w ogóle nie chciano ze mną rozmawiać. Wydawca „Szkółki na wzgórzu” próbował wyjść poza poradniki, powieści obyczajowe, przewodniki oraz średniej jakości książki historyczne i wkroczyć z przytupem na atrakcyjny i perspektywiczny dochodowo rynek kryminału. Początkowo poważnie to rozważałem, później jednak naszło mnie zwątpienie. Nie miałem do tego serca ani zapału. Bywało – nie powiem – że przerzucając kartki dzieł klasyków, widywałem i siebie w panteonie nieśmiertelnych twórców, choć moje miejsce widniało bliżej Camusa, Orwella czy Prusa niż Chandlera (choć nie byłem pewien, czy jego styl noir podbiłby dziś serca czytelników i wydawców). Oznajmiłem swą decyzję redaktorowi literatury polskiej, którego zdziwiony wzrok zdawał się wrzeszczeć: „Na głowę upadłeś? Wiesz, ile tygodniowo otrzymujemy propozycji wydawniczych od desperatów marzących, by znaleźć się na twoim miejscu? Dajemy ci szansę, a ty zgrywasz Prousta?”. Na zimnym, krzyczącym spojrzeniu się skończyło. Podaliśmy sobie ręce, deklarując, że może jeszcze coś kiedyś razem zrobimy. Czysta kurtuazja, gdyż obydwaj wiedzieliśmy, że opuszczenie budynku wydawnictwa jest jednoznaczne z obwieszczeniem światu zakończenia mojej kariery pisarskiej.

Rozdział 4

Wydarzenie w wydawnictwie uzmysłowiło mi prosty fakt: jedyną rzeczą, którą naprawdę umiem robić i czerpię z tego satysfakcję, jest nauczanie. Choć to niełatwa praca, i bywa męcząca, to spełniam się w niej i osiągam dobre wyniki. Stojąc na rozdrożu, zadałem sobie pytanie, czy warto na siłę szukać nowych, wydumanych rozwiązań. Byłbym przeciętnym pisarzem, jestem za to całkiem dobrym nauczycielem.

Jakby w odpowiedzi na te rozterki, pojawiła się oferta od Rycerzy Rozumu. Szostak, obok istniejącej już w Gdyni podstawówki, uruchamiał liceum i prowadził doń rekrutację. Potrzebował dwóch polonistów. Tak się złożyło, że jako pierwszy angaż otrzymał Leszek Filc, kolega, z którym kiedyś pracowałem w szkole w Gdańsku. Należał on do grona osób, z którymi, jak to zwykłem na własny użytek mówić, sklejałem się mentalnie (tak jak później z Romanem i Agatą). Znaczyło to, że dogadywaliśmy się, mieliśmy podobne spojrzenie na wiele spraw i generalnie lubiliśmy się. Po tym, jak zrezygnowałem z pracy w Gdańsku, by leczyć zranioną duszę na Kaszubach, nasz kontakt się urwał. Po półtora roku, wyczynach w Sławinie i książce odezwał się przez Facebooka i spotkaliśmy się dwa razy na mieście. Wiedział, że zawodowo jestem zagubiony. Gdy ruszało liceum Rycerzy Rozumu, skontaktował się ze mną ponownie. Zależało mu, bym powalczył o tę posadę – ze starym znajomym u boku byłoby mu różnie w nowym miejscu. Obawiałem się, jak w praktyce wygląda konserwatywny sznyt fundacji, bo oficjalnie tak była identyfikowana. Sam mam poglądy liberalne, co nie znaczy, że potępiam inne; nie chciałem jednak robić czegoś wbrew swoim przekonaniom.

Konserwatyzm Szostaka był bliższy europejskiemu i bardziej otwarty niż polski. Te rozbieżności stanowiły zarzewie konfliktu między szefem Rycerzy Rozumu a krajowymi środowiskami skupionymi głównie wokół Kościoła. Mówiono, że tradycjonalizm szefa fundacji jest miękki, malowany i z powybijanymi zębami. Inny niż Bernarda Szostaka, brata Kamila, założyciela Rycerzy Rozumu. Starszy z rodu Szostaków był mocno religijny i bezkompromisowy. Kamil, który przyłączył się do jego dzieła, miał nadać fundacji sznyt nowoczesności. Młodszy brat nastawiony był na nowe technologie, w których widział przyszłość. Po śmierci Bernarda, spowodowanej nowotworem, Kamil przejął pałeczkę, co wielu osobom się nie spodobało. Głównie ze względu na jego poglądy. Porównywano go z konserwatystami brytyjskimi, czy też niemieckimi chadekami, co miało być krańcową obrazą, ci bowiem dla polskiej prawicy równi są niemal zachodnim lewakom. Sytuacja pogorszyła się, gdy prawica wygrała wybory i stworzyła rząd. Szostak z naturalnego sprzymierzeńca stał się programowym wrogiem władzy, który według przedstawicieli MEN jest gorszy od zatwardziałych lewicowców, bo okrywając się płaszczkiem tradycjonalizmu, wpaja dzieciom szkodliwe ideologie. Szostak rewanzował się kpinami z nowego ministra edukacji

i szyderstwami z zapowiadanych zmian programowych, czym z jednej strony nakręcał konflikt, z drugiej zaś popularność swojej placówki. Do otwartej wojny doszło jednak nieco później.

Gdy stawiałem się na rozmowie w sprawie pracy, fundacja Szostaka nie była jeszcze powszechnie znana, konflikty rozgrywały się w zaciszu zamkniętych grup serwisów społecznościowych, a do zwyczajnych przez pravicę wyborów pozostał rok. Właściwie to były dwie rozmowy. Pierwszą prowadził Leon Rauch, dyrektor liceum, drugą Lidia Szadzka, dyrektor zarządzająca w Fundacji Rycerze Rozumu. Obydwoje byli mili, kompetentni, co dało się poznać po konkretnych pytaniach. Spodobało im się, że napisałem książkę, bo celowali w pozyskanie ludzi twórczych i ambitnych. Już następnego dnia po zakończeniu rozmów poinformowano mnie, że są zainteresowani współpracą. Ucieszyłem się, choć podejrzewałem, że sukces zawdzięczałem nie tyle swoim błyskotliwym odpowiedziom, co niezbyt dużej liczbie zainteresowanych. Nawet jeśli płacili więcej niż w placówkach publicznych, to nauczycieli wszędzie brakowało. Gdy kończyłem studia, znajomi, słysząc o wybranym kierunku, pukali się w czoło. Dziś, w dobie popytu na absolwentów kierunków technicznych, inżynierów, programistów, informatyków czy nawet marketingowców, ślęczenie pięć lat nad historią literatury, by po skończeniu studiów dostać robotę za pieniądze mniejsze od tych, które bez kwalifikacji można zarobić w markecie, trąci masochizmem. Jeśli dalej takich zapaleńców będzie się wyszydzać wysokością pensji, nie zaś doceniać i motywować, w niedalekiej przyszłości ciężar wpajania młodemu pokoleniu rozterek twórców kolejnych epok literackich będzie musiała wziąć na siebie sztuczna inteligencja, z botami w roli sędziów rozstrzygających, czy opisane w pracy maturalnej strofy wiersza Baczyńskiego zostały prawidłowo zinterpretowane. Pomimo wszystko, myśląc o rozpoczynającym się nowym rozdziale życia, czułem się napompowany energią.

Po upływie trzech miesięcy obok podstawówki i gimnazjum (zlikwidowanego przez rząd dwa lata później) wystartowało liceum. Obawy o ideologiczne naciski okazały się nieuzasadnione. Było wręcz odwrotnie, takiej wolności nie zaznałem w żadnej innej szkole. Zanurzyłem się w tym środowisku i było mi tam dobrze. Przez siedem lat płynąłem spokojnym, ciepłym nurtem. Aż zniknął Miłosz Kasprzak i wszystko się zawaliło.

Rozdział 5

Pomimo zmęczenia po powrocie z poszukiwań nie zmrzyłem oka. Weronika spała obok, nieznacznie pochrapując, ja zaś rozmyślałem o tym, jaką makabrę musieli odkryć policjanci w środku lasu, skoro uznali kontynuowanie akcji za bezcelowe. Jeśli wierzyć słowom koordynatora, nie odnaleziono ciała dziecka. Czyli co? Krew? Odzież? Nad czym pracowała tak szybko sprowadzona ekipa techników? Skoro mimo braku zwłok stwierdzono, iż doszło do zabójstwa, to proces poszukiwania dziecka musiał przekształcić się w pościg za mordercą. Może porywaczy było więcej? Dlatego przerwali poszukiwania? Dla bezpieczeństwa? Ta myśl zrodziła się w mojej głowie nagle i od razu rozpałała zainteresowanie. Jednej osobie trudno byłoby uciekać przez las z martwym dzieckiem. Boże, co za koszmar. Dochodziła trzecia. Wstałem, by napić się wody. Tak naprawdę kierowało mną nie tyle pragnienie, co chęć zaprzątnięcia sobie czymś innym głowy. Bałem się nadchodzącego dnia.

Ranek był dżdżysty, co tylko potęgowało depresyjną atmosferę. Poprzedniego dnia otrzymałem esemesa z sekretariatu o nadzwyczajnej radzie pedagogicznej, która została zwołana nazajutrz, na siódmą rano. Mieszkałem na gdyńskim Witominie, od Wiczlina dzieliła mnie niespełna dziesięciominutowa droga samochodem, ale wyjechałem już o szóstej. Na szczęście na tej trasie korki mnie omijają – o tej porze tworzą się w przeciwnym kierunku, ku centrum. Przed rozpoczęciem rady liczyłem na rozmowę z Romanem i na jego „rozległe ucho”. Kolega miał zdolność wyławiania z zamętu pokoi nauczycielskich wielu ciekawostek, które umiał składać w logiczną całość. A to syn dyrektorki fundacji znowu rozbił samochód, a to będą rozbudowywać zaplecze sportowe kosztem pracowni chemicznej, czy też kolejne odsłony konfliktu pomiędzy ambitnym wicedyrektorem a dumną wicedyrektorką liceum. Tego poranka jednak nikt nie oczekiwał błahych plotek. Wszyscy chcieli wiedzieć, co wydarzyło się w lesie.

– Wielki Mistrz zajechał – poinformował mnie Roman, którego spotkałem przed wejściem do podstawówki.

To tam, w rozbudowanej trzy lata wcześniej części, miała odbyć się rada pedagogiczna. Określenie, którego użył, odnosiło się do Kamila Szostaka; jego charakterystyczny, czarny Jeep Wrangler Unlimited błyszczał na parkingu. Szefa fundacji nazywano pokątnie Wielkim Mistrzem, od kiedy szkołę, a właściwie zespół szkół zaczęto określać mianem Grunwaldu. Właściwie nikt nie znał dokładnej genezy tego porównania. Prawdopodobnie odnosiło się do Rycerzy Rozumu. Szostak rzadko bywał na terenie szkoły, choć w budynku przylegającym do liceum mieściła się część administracyjna, w tym siedziba fundacji i jego biuro. Szef, zajęty rozwojem i budową sieci, rzadko tam bywał. Oprócz Gdyni placówki działały w Warszawie, Łodzi i Katowicach. Kolejne budowały

się we Wrocławiu i Szczecinie. Szkoła miała świetną renomę i chętnych do uczenia się w niej nie brakowało. Wieść niosła, że następne inwestycje będą przeprowadzane w mniejszych miejscowościach. Skoro Szostak zjawił się rano w szkole, to z pewnością wystąpi na radzie, a to znaczyło, że sytuacja jest naprawdę poważna.

Weszliśmy do środka. W holu, wśród sporego tłumu nauczycieli, wypatrzyłem Agatę Kałużę. Ona również nas dostrzegła i podeszła. Tamtego dnia jej trzydzieści osiem lat przeistoczyło się w przynajmniej czterdzieści pięć. Oczy miała podkrążone, a zwykle blada cera wydawała się jeszcze bardziej papierowa.

– Byliście tam? – wystrzeliła od razu. – Widzieliście, gdzie go znaleźli? Boże, ludzie wygadują najrozmaitsze okropieństwa.

Roman spojrzał na mnie, chcąc chyba, bym wyręczył go w odpowiedzi na to pytanie.

– Nie, też skończyliśmy na parkingu – odparłem. – Wiemy tyle co ty.

– Jego matka jest w szpitalu – powiedziała po chwili ciszy.

– Co? – Roman, który mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, spoglądał z niedowierzaniem na niższą o przeszło dwadzieścia centymetrów koleżankę. – Dlaczego?

– Miała jakąś zapaść, czy coś. Dziwicie się? Sama ledwo żyję, a to przecież nie moje dziecko. Wyobrażacie sobie, w jakim musi być stanie psychicznym? Biedna kobieta. Co za cholernie koszmarna sytuacja. Przecież chłopak brał leki na alergię. I to mocne.

– Proszę państwa! – głos dyrektor fundacji, Lidii Szadzkiej, wybrzmiał ponad gwarem w holu, który natychmiast ucichł.

Elegancka kobieta o nienaganej figurze, zawsze stylowo ubrana, choć nieepatująca modowymi udziwnieniami, stała na prowadzących na piętro schodach, przez co górowała nad tłumem. Nigdy nie poznałem jej prawdziwego wieku. Wyglądała na czterdzieści lat, ale współczesna kosmetologia potrafi oszukać oko nawet o kilkanaście wiosen. Na pociągłej twarzy dyrektor nie widać było jednak śladów głębszych ingerencji. Żadnego botoksu ani napompowanych ust. Szadzka przez lata dała się poznać jako entuzjastka trzymania wysokich standardów opierających się na przestrzeganiu ściśle określonych procedur. I tego wymagała od swoich pracowników. Nauczyciele nie mieli z nią zbyt częstego kontaktu. Za sprawy związane z działalnością poszczególnych placówek odpowiadali ich dyrektorzy i to oni bezpośrednio podlegali Szadzkiej. Jej dość chłodny i technokratyczny stosunek do ludzi sprawił, że w szkolnym obiegu funkcjonowała jako Makrela. Spotkania z władzami fundacji były sporadyczne i dochodziło do nich głównie przy okazji świąt, rozpoczęcia lub zakończenia roku szkolnego lub przed takimi uroczystościami, jak oddanie nowego skrzydła szkoły podstawowej, hali sportowej czy też przywitanie uczniów z wymiany. Nigdy nie wiązały się z podobnym kryzysem.

– Rada odbędzie się w auli – kontynuowała Lidia Szadzka. – Zanim się tam udamy, mam dla państwa dwa komunikaty. Dziś zajęcia szkolne się nie odbędą. Rodzice i uczniowie zostali o tym poinformowani. Policja będzie chciała z niektórymi z państwa porozmawiać. Zwłaszcza z tymi, którzy mieli zajęcia z Miłozem Kasprzykiem. Proszę być na to przygotowanym. Jutro planujemy spotkania dzieci z psychologiem. Będziemy w tym celu tworzyć grupy, po dwie, trzy klasy. Szczegóły wychowawcy ustalą ze swoimi dyrektorami. Liczymy na rozładowanie napięcia związanego z poszukiwaniami i tą całą niepewnością.

A może strachem? – odpowiedziałem w myślach. Skoro ze szkoły uprowadzono jedno dziecko, być może ktoś spróbuje powtórzyć udaną akcję.

– Boją się rodziców – szepnęła Agata, jakby potrafiła zajrzeć mi do głowy. – Założę się, że jutro będzie to najsilniej strzeżona szkoła na planecie.

Szadzka skończyła krótką przemowę i ruszyła w kierunku auli, prowadząc za sobą grupę kilkudziesięciu osób. Odłączyłem się od niej na moment, gdy poczułem wibrowanie w kieszeni. Wyjąłem komórkę i spojrzałem na ekran. Jasne, pomyślałem, odrzucając połączenie. W sumie spodziewałem się tego telefonu.

Rozdział 6

Wielki Mistrz był zaprzeczeniem Makreli. W nielicznych momentach, w których spotykał się z zespołem pracowników fundacji (a tych w związku z rozwojem przedsięwzięcia przybywało), wydawał się bezpośredni, sympatyczny i pozbawiony korporacyjnego chłodu. Być może dzięki tym przeciwieństwom tak dobrze się z dyrektorką uzupełniali. Tego ranka Kamil Szostak, stojąc przed gronem pedagogicznym, usadzonym na krzesłach rozlokowanych w kilku rzędach, był jednak inny niż zwykle. Choć gruby, wełniany sweter i ciemne sztruksy akcentowały niezależność i pozycję, które pozwalały na lekceważenie przyjętej etykiety, co czynił za każdym razem i nikogo już tym nie zadziwiał, to jednak brak szerokiego uśmiechu ukazującego perlister zęby był zapowiedzią zmiany. Zanim się odezwał, skubał nerwowo pokaźną, równo przystryżoną brodę.

– Dziękuję państwu za przybycie o tak wczesnej porze – mówił dość cicho i powoli, nie stroniąc od utrzymywania z grupą kontaktu wzrokowego. – To, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, z pewnością jest dla nas wszystkich bolesne. Cierpienie dziecka to zawsze dramat. Chodzi o dziecko wywodzące się z naszej, szkolnej społeczności, co tylko powiększa traumę. Wiem, że macie wiele pytań, ale wierzcie mi, na większość nie znam odpowiedzi. Nie wiem, co się wydarzyło w lesie. Policja nie udzieliła nam żadnych szczegółowych informacji. Może doszło do morderstwa, a może do wypadku. Pewnie z czasem dowiemy się więcej, ale chwilowo musimy przywyknąć do trwania w denerwującym zawieszeniu, co łatwe nie będzie.

Szostak zrobił pauzę, a cisza nieprzyjemnie pochłaniała wnętrze. Wszyscy wpatrywali się w tego niezbyt wysokiego mężczyznę niczym w wizjonera gotowego na przedstawienie kolejnego olśniewającego pomysłu. Wielki Mistrz zawsze kojarzył mi się ze Steve'em Jobsem. Wydawał się być ponad codzienność, bo w głowie miał wielkie projekty, które wyprzedzały teraźniejszość. Podobnie jak amerykańskiemu odpowiednikowi nieobce mu były futurystyczne inwestycje. Oprócz fundacji miał jeszcze firmę technologiczną, która inwestowała w rozwój sztucznej inteligencji. Jedni obśmiewali jego syndrom boga, inni byli zachwyceni.

Tamtego poranka niepewność i obawa były widoczne także na jego twarzy.

– Czeka nas trudny okres – kontynuował. – Po liczbie telefonów i maili, docierających do nas z przeróżnych redakcji, wnioskuję, że wkrótce wybuchnie medialna wrzawa. Jak wiecie, z obecną władzą nie mamy łatwego życia, więc należy spodziewać się turbulencji. Ze swojej strony chcę was zapewnić, że zrobię wszystko, by szkoły i fundacja nie ucierpiały. Będziemy współpracować z prokuraturą i policją, obejmiemy opieką rodzinę Miłosza. Jeśli okaże się, że ktoś zrobił mu krzywdę, fundacja wyznaczy nagrodę za informację mogącą przyczynić się do ujęcia sprawy. Proszę was, byście stosowali się do działań zaplanowanych przez dyrektorkę Szadzką, a wspólnie to

przetrywamy. I jeszcze jedno, proszę was, byście bez zgody dyrekcji nie rozmawiali z dziennikarzami. Władze fundacji opracowały strategię komunikacji w mediach, ale zapewne niektórzy z ich przedstawicieli będą próbowali dotrzeć do was bezpośrednio. Nie łapcie się na te haczyki, bo to może tylko pogorszyć naszą sytuację. Trzymajmy się razem, a zaświeci tu jeszcze słońce.

Rzęsisty deszcz uderzający w okna i parapety auli wyszydzał ostatnie słowa Szostaka. On, nie przejmując się tym, opuścił radę, rzucając wcześniej słowa pożegnania oraz zapewnienie o przekazywaniu zespołowi na bieżąco wszelkich informacji. Ani słowa o tym, w jaki sposób mały Kasprzyk trafił ze szkoły do lasu. Najważniejsze pytanie pozostało bez odpowiedzi, my zaś jak otumanione barany baliśmy się poruszyć tak oczywistą kwestię.

Rada trwała cztery godziny. Uzgodniono, w jaki sposób uczniowie zostaną podzieleni na grupy oraz kiedy odbędą spotkania z psychologiem. Największy nacisk Szadzka kładła na podstawówkę, ale również w liceum miały być podobne zajęcia. Jako wychowawca jednej z klas byłem w całą sprawę mocniej zaangażowany. Zorganizowanie terapii uważałem za dobry pomysł, ale mimo wszystko trąciło to asekurantwem. Strategię działania związaną z osłanianiem władz fundacji ustalano pewnie przez całą noc, a zaplanowane zajęcia były jej pierwszym etapem. Przed dwunastą wyszedłem z auli. Spojrzałem na telefon. Pięć nieodebranych połączeń z tego samego numeru. Rozejrzałem się po holu. Roman gdzieś zniknął. Agata pomachała mi, nim wyszła na dwór.

– Ale się porobiło, co?

Odwrociłem się. Za mną stał Leszek Filc.

– Szostak przeholował – mówił przyciszonym głosem. – Przez tyle lat zgrywał ważniaka i nieomylnego i co z tego przyszło? Po co się tak rzucał? Teraz nam wszystkim dobiorą się do tyłka.

Dawno nie widziałem go tak strapionego. Rozmawialiśmy coraz rzadziej, bo nasze szlaki rozeszły się niedługo po zatrudnieniu w liceum. Kumpel, który zaplanował nam wspólną przyszłość w Rycerzach Rozumu, przeniósł się do podstawówki. Choć nie mówiono o tym głośno, wszyscy wiedzieli, że dyrektor nie był zadowolony z poziomu jego zajęć. Zaważyły wyniki matury po pierwszym roku naszej pracy. Moje klasy wypadły zadowolająco, jego słabo. Miał do wyboru młodsze dzieciaki albo zwolnienie. Skorzystał z koła ratunkowego, lecz nasz kontakt się rozluźnił. Niby budynki obu szkół znajdują się obok siebie, ale wytworzyły się w nich różne społeczności. Spotykaliśmy się, wpadając na siebie na parkingu albo na szkolnych imprezach. Na jego miejsce przyjęto Romana, a Leszek przejście na niższy poziom uznał za degradację. Wydawał się przygaszony, nic nie zostało z żartownisia, z którym pracowałem przez kilka lat. Wiedziałem, że rok temu powiększyła mu się rodzina. Chyba bał się o pracę.

– Nie zamartwiaj się na wyrost – pocieszyłem go. – Nikt nie zamknie przecież szkoły. Co z tymi wszystkimi dzieciakami, rodzicami? Daj spokój.

– Wczoraj przez kilka godzin policja maglowała Zacharskiego.

– Tak? – zainteresowałem się. Kazimierz Zacharski był kierownikiem do spraw administracyjnych. Odpowiadał za utrzymanie budynków, remonty, naprawy, ale też sprzęt i monitoring. – I co?

– Nie wiem – odpowiedział, rozglądając się, jakby w obawie, że ktoś może nas podsłuchać. Hol jednak opustoszał. Staliśmy samotnie przy drzwiach. – Tylko o tym słyszałem, ale dobrze to nie wygląda.

Postanowiłem wykorzystać fakt, iż Leszek był bliżej sprawy zaginięcia Miłosza.

– Jak to właściwie było? Zorientowali się, że dzieciaka nie ma dopiero po południu?

Poddenerwowany kolega kolejny raz rozejrzał się wokół. Wyglądał, jakby bił się z myślami. Podejrzewałem, że Lichowska prowadząca podstawówkę zabroniła o tym rozpowiadać.

– Wiesz, ale tak między nami – rzekł, potwierdzając moje przypuszczenia. – Oni cały czas mają nadzieję, że sprawa nie wypłynie.

– Jasne – zapewniłem. – Jeśli masz opory, to nie ma sprawy.

Leszek zignorował moje ostatnie słowa.

– We wtorki Miłosz między trzynastą piętnaście a piętnastą zawsze był w świetlicy. Stamtąd odbierała go matka. Tak przynajmniej twierdzi jego wychowawczyni. Wtedy też tam był, ale około czternastej wyszedł do toalety i zniknął. W świetlicy siedzi Baśka Kamel i to ona po dwudziestu minutach się zaniepokoiła i poszła go szukać. Tak mówi. Szkoła była już niemal pusta. No i dzieciaka nie było. Zawołała Zacharskiego i szukali dalej. Zaczęły się nerwy, a potem przyszła matka i napięcie wzrosło. Zjawiła się Lichowska i przetrzepali całą szkołę. O wpół do piątej wezwali policję.

– Ale przecież przy wejściu jest woźny. Drzwi są otwierane po zdalnym odblokowaniu. Nie widział go?

– Mówi, że nie. Ale to nic nie znaczy. Są jeszcze inne wyjścia, na boisko albo na parking. Wszystkie co prawda były zamknięte, ale cholera wie, może ktoś ich użył.

– A kamery? Coś musiało się nagrać.

– Tego nie wiem, za to Zacharski i dyrektorka są w panice. Z monitoringiem chyba coś nie gra, ale trzymają język za zębami. Mówię ci, Sylwek, słabo to wygląda.

Jeśli Leszek mówił prawdę, a nie miałem powodów podejrzewać, że konfabulował, to rzeczywiście sprawy przedstawiały się nieciekawie. Skoro ktoś tak sprawnie przeprowadził porwanie, to musiał znać szkołę. Ktoś z nauczycieli? Obsługa?

Nie chciałem dodatkowo przytłaczać kumpla swoimi czarnymi myślami.

– Leszek, nie jest powiedziane, że chłopiec nie żyje. Za bardzo panikujemy. Może się zgubił i błąka dalej, a policja myśli nie wiadomo co.

Nie zabrzmiałem przekonująco. Kolega kiwnął głową i pożegnaliśmy się. Patrzyłem, jak biegnie w deszczu do swojego samochodu. Mnie również czekała podobna przebieżka. Pogoda była paskudna. Minęło południe, a panowała ciemnica, jakby już nastał wieczór. Kolejny raz spojrzałem na telefon. Tym razem dostałem esemesa z informacją: „Oddzwoni”. Nadawcą był Karol Zawada. Jasne, kto jak kto, ale on nie odpuści takiego tematu.

Rozdział 7

Dawno nie rozmawiałem z Karolem. Nasze drogi mocno się rozjechały, choć po dochodzeniu, jakie wspólnie przeprowadziliśmy w Sławinie, wydawało się, że narodziła się przyjaźń na długie lata. Gdy pisałem „Szkolę na wzgórzu”, jeszcze dość regularnie się spotykaliśmy. Spinała nas chęć wykorzystania doświadczeń z Kaszub. Ja podjąłem nieśmiałą próbę zostania pisarzem, on z impetem zawalczył o powrót do pierwszej ligi dziennikarskiej. Nie było to łatwe, bowiem łątka tabloidowego pismaka mocno do niego przywarła; niemniej reportaż „Zaciszne miejsce”, który udało mu się zamieścić w „Tym Kraju”, został bardzo dobrze przyjęty. Moja książka przeszła bez echa, ale jemu pobyt w Sławinie pomógł powrócić na szczyt. Reportaż dostał poważną branżową nagrodę, Zawada zaś angaż w „Tym Kraju”, jednym z najpoważniejszych tygodników opiniotwórczych, ze świetnym działem kryminalnym rozwijanym głównie w internecie. Spotykaliśmy się coraz rzadziej, aż nasz kontakt ograniczył się do moich lajków pod zapowiedziami jego artykułów na facebookowym profilu „Tego Kraju” lub zdawkowej wymiany zdań na Messengerze. Ostatni raz widzieliśmy się przed trzema laty na kolacji, którą zorganizował w swoim mieszkaniu we Wrzeszczu. Chodziłem już wtedy z Weroniką, on natomiast od kilku lat był w związku z Magdą, którą poznał zaraz po powrocie do prawdziwego dziennikarstwa. Była miła, dość atrakcyjna i sporo młodsza od niego. Weronika stwierdziła, że to długo nie potrwa. Myliła się. Minęły lata, a oni nadal byli razem.

Stałem w drzwiach szkoły i z niepokojem obserwowałem coraz bardziej zacinający deszcz. Zawada nie dzwonił po to, by zapytać, jak leci. Wiedział, gdzie pracuję i co się tu wydarzyło, a jego nos dziennikarza śledczego kazał mu wykorzystać szansę na pozyskanie informacji z wewnątrz oka cyklonu. Świadomość tego nieco mnie zirytowała. Przez długi czas siedział cicho i dopiero wtedy, gdy coś się zadziało, przypomniał sobie o dawno niewidzianym kumplu? Rozdrażniony tą myślą, oddzwoniłem.

– Sylwek! – już po pierwszym sygnale usłyszałem energiczny głos. – Świetnie, że się odzywasz. Dobijałem się przez kilka godzin.

– Miałem radę pedagogiczną – odparłem, siląc się na obojętność. – Jak leci? Sporo czasu minęło. Pewnie byłeś bardzo zajęty.

– Owszem. – Kumpel nie wyczuł sarkazmu. – W robocie non stop urwanie głowy, ale nie można przecież cały czas żyć pracą. Spotkajmy się, co? Zapraszam na piwko i jakąś kolacyjkę. Pogadamy, opowiesz, co u ciebie.

– Karol... – Te podchody naprawdę mnie zdenerwowały. Zawada od początku naszej znajomości miał manierę traktowania mnie jak młodszego, nieopierzonego kolegę. Był co prawda

z dziesięć lat starszy, ale ja też już nie należałem do podlotków. – Nie jestem idiotą, wiem, po co dzwonisz.

W słuchawce zapadła kilkusekundowa cisza.

– Masz rację. – Wreszcie mówił normalnym tonem. – Przepraszam. Możesz mi wierzyć albo nie, ale jest mi głupio po takim czasie uderzać do ciebie w zawodowej sprawie. Powinienem skontaktować się wcześniej. Magda ciosała mi kołki na głowie, bym was zaprosił, ale wiem, jak jest. Weronika mnie nie znosi, to żadna tajemnica.

W tym aspekcie się nie mylił. Był wnikliwym obserwatorem i znał się na ludziach. Moja partnerka miała alergię na Zawadę. Uważała go za nadętego buca. Weronika nie lubiła, gdy ktoś podważał jej opinię, a Karol kilka razy bez hamulców ją wyśmiał. Taki już był. Bezpośredni i kąśliwy. Po mnie to spływało jak po kaczce, bo wiedziałem, że nie robi tego złośliwie, ale na Weronikę podziałało jak płachta na byka. Z tego powodu po kolacji we Wrzeszczu nie doszło do rewizyty. Właściwie w naszym związku Zawada stał się tematem tabu. Skoro poddałem się tej sytuacji, jakie miałem prawo obarczać go winą za rozluźnienie relacji? Gdy zdałem sobie z tego sprawę, natychmiast zakłuło mnie sumienie.

– W porządku. Mów, czego chcesz, bez owijania w bawełnę.

– Chyba się domyślasz. Piszę o dzieciaku z twojej szkoły i zbieram materiały. Możesz ze mną o tym pogadać?

– Właśnie wyszedłem ze spotkania, gdzie nałożono na nas embargo na kontakt z mediami. Jak ci coś powiem, od razu nas skojarzą. W końcu pisałem o tobie w książce. Wylecę z roboty. Poza tym nie wiem zbyt wiele. Nie miałem kontaktu z tym chłopcem.

– Chodzi mi o tło. – Karol nie dawał za wygraną. – Jakieś smaczki ze szkoły. Wiem, że nie znasz konkretów ze śledztwa. Te pozyskałem swoimi kanałami. Jutro w tej sprawie walnie brudna bomba i wierz mi, nikt nie będzie się zajmował niuansami.

Zmroziło mnie.

– Jaka bomba?

– Nie przez telefon. Spotkajmy się o trzeciej na mieście. Pamiętasz Acapulco?